



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

CHRYSTUS I NIEWIASTY.

Chrystus szedł na Golgotę—z purpury zewleczony,
Dźwigał krzyżowe brzemie;
Krwawy znój go oblewał z pod cierniowej korony,
Gdy upadał na ziemię.
A ziemia była spiekłą—słońce paliło żarem,
Łało z góry blask złoty;
I szedł tak Syn Człowieczy z okrutnym swym ciężarem
Na stromy szczyt Golgoty.
W dali lud ciągnął tłumem i spieszyła gromadka
Niewiast, które szlochały.
Była tam Magdalena i Marya Jego matka,
I inne, co kochały.
Co tam drżało cierpienia w głębiach piersi niewieściej!
Nikt tego niewypowie...
Jak się targały serca pod rwaniem tej boleści,
Co się nie zawrze w słowie!...
Bo widziały nieszczęsne Tego, co im był Bogiem,
W tłumie dzikich siepaczy:
Widziały jak upadał pod cierpień gwałtem srogim—
Bezsilne wśród rozpaczyl!...
I czasem żal je łamał... patrzyły błagające
W posępne twarze ludu,
Patrzyły potem w niebo—na niebie lśniło słońce,
Ale nie było cudu!...
Pały blaski jasne—przez Chrystusowe lica
Krople potu spływały;
Z niemych tłumów wybiegła zapłakana dziewczica,
Gdy się chylił omdlały.
I czyniąc sobie miejsce w katów tłuszczy okrutnej,
Upadła na kolana,

Rąbkiem czoło otarła, a miłosny choć smutny
Spoczął na niej wzrok Pana.
Na chuscie Weroniki pozostała odbita
Słodką twarz Chrystusową;
Lecz od cudu Golgoty w sercu swoim kobieta
Stokroć droższy dar chowa.
Umie kochać i wierzyć... W ciężkich chwilach boleści
Umie otrzeć pot z czoła,
I na ziemi się pełni cud miłości niewieściej
Gdy Bóg nie da Anioła.

M. Ilnicka.

KOBIETA

I WYMIAR KARY W SPOŁECZEŃSTWIE

Prelekcyja publiczna, wypowiedziana przez **Edwarda Prądzyńskiego**, w Warszawie d. 29 Marca 1874 r.

Trudnoby było w szerokim zakresie działalności ludzkiej, wynaleźć pojęcie, któreby więcej niż pojęcie kary na głębszą zasługiwało rozprawę i ważniejsze wywoływało pytania. Dlaczego na świecie odznaczającym się taką szczytną harmonią, złe i dobre w takiej ciągłej z sobą zostają walce? Czy i w jakiej mierze człowiek za czyny swoje jest odpowiedzialnym? Zkąd płynie—i jakie jest dlań prawo, ta reguła życia, do której stosować się winien? Jaki jest zakres i jakie warunki odpowiedzialności moralnej z sankcją sumienia—a jaki zakres i jakie warunki odpowiedzialności społecznej z sankcją stanowionych ustaw? Jakie podstawy, jaki cel, jakie środki mieć powinna kara społeczna, ażeby słuszną i pożyteczną była? W jaki sposób, w jakich rozmiarach,

i zapomocą jakich organów wymierzać ją wolno społeczeństwu?... Oto są pytania pierwszorzędnej doniosłości, jakie się tutaj cisną do myśli ludzkiej; — pytania odnoszące się jak widzimy do najgłębszych tajników naszej natury, do zasadniczych praw bytu naszego i naszego przeznaczenia. Więc też i dziwić to nie może, że odpowiedzi na nie ludzkość nie znalazła od razu, że ją zdobywać musiała wielkim trudem, cząstką po cząstce przez długie wieki, kosztem niewypowiedzianych cierpień licznych pokoleń! Zaniamy podamy odpowiedź, jaką na niektóre z tych pytań dała dzisiejsza nauka, i odsłoniemy potrzeby, które w dziedzinie karnej odpowiednią działalność kobiety wywołują, rzucmy przedwstępnie okiem na przeszłość i okreśmy historyczny rozwój idei karnej w społeczeństwie.

Pierwotna forma kary wypływa z pojęcia zemsty, która pozwala i nakazuje poszukiwać ścisłego odwetu. Prawo Mojżeszowe taką zasadę uświęca: „zab za zab, oko za oko, krew za krew.“ Tę srogość podwaja myśl o obrażonym bóstwie. Zagniewany Bóg Izraela sprowadza plagi i nieszczęścia na winowajcę i jego pokolenie, domaga się pomsty i zatracenia. Fatum greckie niemniej jest mściwe, jak tego dowodzą mity o Eumenidach, Edypie i innych.

Z takiego pojęcia o karze wyniknęło to pierwsze następstwo, że syn za ojca, brat za brata musieli się mścić albo stawać się ofiarami zemsty; następstwo to uświęcone przez obyczaje, utrwaliło się szczególnie w średnich wiekach i historycznego nabrało znaczenia. Drugiem następstwem teorii prywatnego odwetu było to, że takiej samej materialnej odpowiedzialności ulegały czyny rozmysłne i wypadkowe, co dopiero usunął prawodawca rzymski, odróżniając wypadek (*casus*) od występku—(*dolus*). Trzecim z kolei wynikiem tych pojęć była pozostawiona możność pokrzywdzonemu przyjęcia od winowajcy lub jego rodziny okupu (*compositio*), który zaspakajał zemstę i zmyślał winę.

W miarę ustalania się stosunków ludzkich, społeczeństwo przychodziło jednostce z pomocą w poszukiwaniu należnego jej odwetu; a gdy ta pomoc coraz częściej i niezbędniejszą się okazywała, państwo nie

poprzestając już na niej, przyswoiło sobie prawo określania warunków karygodności czynu, miary należnego odwetu i sposobu, w jaki poszukiwać go miano. Wtedy narzucając winowajcy okup (u Germanów *Wehrgeld* czyli pieniądz obrony), zapewniało ono pewny w nim udział dla siebie (*fredus*), który szedł na rzecz gminy, naczelnika lub monarchy i wydał do dziś dnia istniejącą karę pieniężną.

„Z początku, powiada Guizot¹⁾, tylko małe i słabe pomiędzy ludźmi zachodzą różnice... Niema wtedy albo prawie, że niema publicznej władzy. Ludzie nie są silnie prowadzeni ani jedni przez drugich, ani przez ogół społeczeństwa; wolność jest zupełna: każdy czyni prawie co tylko chce i może na swoją własną odpowiedzialność.... Lecz nierówność się pojawia.... zbiorowa władza powstaje... i tworzą się z jednej strony arystokracja, z drugiej rząd, czyli dwie potęgi panujące nad pozostałą masą narodu.“ Tyle słów Guizota. W tym stopniu rozwoju stosunków społecznych, państwo z rządem i uprzywilejowanymi stanami przedstawia się nie tylko jako obrońca praw i interesów ogółu, ale jako samoistne zbiorowe ciało, które czuje się w sile poskramiać i karać wszelkie przeciwko sobie zwrócone zamachy. W dalszym następstwie rzeczy, państwo w połączeniu z kościołem staje na straży moralności, religii i ogólnego porządku—co wywołuje nową kategorię przestępstw, zdrady państwa, obrazy Boga, kościoła i majestatu rządzących osób.

Tak więc na miejscu zemsty prywatnej staje zemsta publiczna; na miejscu walk i układów pomiędzy pojedynczymi obywatelami staje państwo z przewagą olbrzymiej potęgi i pełnym zasobem karzących środków, tem liczniejszych, że zwiększył się zakres karygodności czynów o cały świat wewnętrzny myśli, uczuć i przekonań. Pomimo jednak tej zmiany co do formy, myśl przewodnia zemsty i odwetu pozostaje zawsze podstawą prawa karnego. Zobaczymy na przykładach doczego doprowadziła; jest to potrzebne dla lepszego uwydatnienia dzisiejszego postępu, którym słusznie wiek XIX szczycić się może.

Mojżesz karze śmiercią przez ukamienowanie, uduszenie, ścięcie lub spalenie: bałwochwalstwo, bluźnierstwo, świętokradztwo, czarodziejstwo i wszelkiego rodzaju czary, a także i tych, którzy po radę do czarnoksiężników się udają; najmniejsze przekroczenie przeciwko religijnym przepisom jest surowo ścigane. W Egipcie karano śmiercią tego, który zabił sępa i tego, który choćby wypadkiem pozbawił życia jedno z czczonych zwierząt np. kota lub łasicę. W Grecji karano także śmiercią świętokradztwo, a było niem urwanie gałązki z świętego drzewa, zabicie ptaka poświęconego Eskulapowi. Artysta nieśmiertelnej sławy Fidyas był oskarżony o świętokradztwo za to, że wyrzeźbił swój portret na tarczy Minerwy: umarł w więzieniu. Druga chluba Grecji, Sokrates został skazany na otrucie się za swoje przekonania. Śmiercią karano tych wszystkich, którzy, jak mówiło dosłownie prawo: „czarują i wprowadzają w błąd innych zapomocą słów, woskowych figur, talizmanów i uroków²⁾.“ W Atenach był oddzielny sąd do rozstrzygania podobnych spraw; a że sąd był czynny, dowodzi Demostenes podający, że na zasadzie tego prawa czarownica Lemnia została skazana na śmierć.

Niewolnik nie mógł świadczyć w sądzie; że zaś jego zeznanie było często niezbędnym, przyjęto więc zasadę, że nabierze wiarygodności, gdy będzie wymożone przez tortury. Arystofanes w komedii „Żaby“ tak opisuje tę śledczą czynność: „Uczepcie go u drabiny i trzymajcie w zawieszaniu; wyćwiczcie dobrze kańczugiem; w nos napuszcacie octu; przykładajcie rozpalone cegły; męczcie, kaleczcie, obspycie razami—słowem czynicie z nim co tylko wam się podoba.“ To samo miało miejsce w Rzymie. Ażeby nadać ważność świadectwu niewolnika, trzeba go było przez męki tortury przeprowadzić. W pomnikach prawodawstwa rzymskiego znajdujemy szczegółowy opis używanego narzędzia i sposobu postępowania³⁾. Było to coś naksztaltu ramy podłużnej z drzewa, której ramiona złączone śrubami zbliżały i rozchodzą się mogły. Skazanego na tortury wiązano za nogi i ręce

i krzyżowano; następnie przez rozkręcanie śrub wyprężano ciało dopóki kości nie zaczęły występować ze stawów; nadto raniono ciało rozpalonym żelazem, szarpano je żelaznymi hakami. Jeżeli właściciel nie chciał narażać życia swoich niewolników, strona domagająca się ich świadectwa mogła do tego zmusić, gdy odpowiednią złożyła kaucję, służącą za wynagrodzenie jeśli ofiary nie były w stanie przeżyć tortury. Jeżeli pan w Rzymie został zamordowany a winny nie był wykrytym, niewolników, jako podejrzaných, śmiercią karano.

A oto znowu jak podług *Prawa Dwunastu Tablic* w Rzymie obchodzić się miano z dłużnikami: „Niechaj bogaty, mówi to prawo, odpowiada za bogatego, a za proletariusza kto zechce.... Sprawa ma być osądzona w ciągu trzydziestu dni.... Jeżeli nie wypełni wyroku i nikt za nim nie poręczy, zaprowadź go do swego domu okutego w łańcuchy wagi 15 funtów lub mniej jeżeli chcesz. Więzień ma żywić się swoim kosztem; jeżeli nie, dasz mu jeden funt mąki lub więcej, do twojej woli. Jeżeli się nie uiszi, trzymaj go okutego przez sześćdziesiąt dni; jednakże prowadź go do sądu potrzykroć w dnie targowe; tam ogłosz jaką ci winien sumę. Trzeciego dnia targu, winny będzie zabity lub sprzedany po za granicę Tybru. Jeżeli jest kilku przyrzanych wierzycieli, mogą ciało dłużnika pokrajać i niem się podzielić¹⁾, jeżeli się podzielił mniej więcej sprawiedliwie nie będą za to odpowiadać.“ Prawo to odnoszące się do odległej starożytności wyszło w końcu z użycia.

Tak rzymskie jak greckie prawodawstwo stanowiło inne kary dla niewolników a inne dla klasy panującej. Kiedy tam srogość dochodziła do przerażających rozmiarów—odnośnie do ludzi wolnych zachowano względna łagodność: wysokie pojęcie o osobistej nietykalności wolnego obywatela wydało karę banicji. Uprowadzając wyrok przestępca mógł przez dobrowolne opuszczenie kraju uchylić się od wszelkiej odpowiedzialności: w Atenach i Sparcie pozwalało na to prawo nawet w czasie śledztwa. W Rzymie, w wypadkach ważnych, jeżeli wykonywać musiano karę hańbiącą na wolnym obywatelu, odejmowano mu wpraw ten charakter; stawał się on jak dosadnie nazwał go prawodawca niewolnikiem kary (*servus poenae*) i jako taki ją ponosił. Najczęściej jednak skazywano ludzi tej klasy na charakterystyczne odmawianie wody i ognia (*interdictio aqua et igni*) w granicach państwa, co naturalnie pociągało za sobą pozornie dobrowolne, w gruncie rzeczy przymusowe, wygnanie. Lecz idźmy z biegiem czasu. Rzymianie wynaleźli karę więzienną. Ale więzienia były to lochy ciemne, wilgotne, cuchnące, ciasne; winowajca okuty w kajdany, z obręczą żelazną na szyi, oddany na pastwę robactwa i choroby bez ratunku, o chlebie i wodzie zazwyczaj dokonywał żywota. Na 70 lat przed narodzeniem Chrystusa, Ciceron w piątej mowie przeciwko Verresowi tak się o ówczesnych odzywa więzieniach: „....Ojcom niewolno swych dzieci odwiedzać, ani im ubrania lub pokarmu przynosić... nieszczęśliwe matki spędzające noc w przedśionkach, domagają się aby im wolno było przyjąć ostatnie technienie swych dzieci—a i tej pociechy im odmawiają. Przytomny tu odzwierciwieniem był katem Pretora. On Liktor Sextius był śmiercią i postrachem dla wszystkich, bo mu każde westchnienie i każdy spowodowany ból pomnażał zyski! „Za wstęp dasz tyle, za potrawy tyle i nikt się nie wahał. Ile mi dasz za to, że syna twego jednym cięciem topora zabije, żeby się długo nie męczył!...“

W trzecim wieku naszej ery wydano w Rzymie dekret, który przytaczam w dosłownem tłumaczeniu: „Dyoklecjan po trzykroć wielki, zawsze sprawiedliwy, cesarz nieśmiertelny, wszystkich prefektów i prokonsulów cesarstwa rzymskiego wita! Ponieważ doszła do naszych boskich uszu wielce nie miła wieść o herezyi tych, którzy się zowią chrześcijanami, czeżą jako Boga jakiegoś Jezusa, urodzonego z żydówki i przez żydów ukrzyżowanego za czary, — tych co złorzeczeniem i obelgą znieważają wielkiego Apollina, Merkurego, Herkulesa, samego nawet Jo-

wisza—rozkazujemy przeto, ażeby wszyscy chrześcijanie, mężczyźni i kobiety, we wszystkich miastach i prowincjach, poddani byli najstroższemu męczeniu, jeżeli nie zechcą wyrzec się swojego błędu. Tym którzy się okażą posłusznymi, udzielamy nasze przebaczenie; względem innych rozkazujemy, ażeby skazani na śmierć, ginęli śmiercią najokrutniejszą.“ W innem postanowieniu cesarz polecał „ażeby wszystkie świątynie chrześcijańskie były zburzone, a święte księgi spalone; ażeby chrześcijan pozbawiać honoru i wszelkich godności, poddawać ich męczarniom bez względu na stan i stanowisko....“

Wokoło tronu szerzyła się już nowa wiara; Priscia żona cesarza i córka jego Domitilla musiały pierwsze złożyć pogańskim bogom ofiarę, ażeby uniknąć śmierci. Doroteusz dowódca gwardii pałacowej został uduszony po długich męczarniach. Nie pierwsze to było wystąpienie tego rodzaju. Opisując czasy Nerona, Tacyt powiada dosłownie: „że chrześcijanie którzy się albo sami do wyznawanej wiary przyznali, lub sądownie zostali o tem przekonani, byli zabijani nie tak za przypisywaną im zbrodnię podpalania, lecz raczej, ażeby zadosyć uczynić nienawistnej rodzaju ludzkiego. Z ich męczarni mówi dalej historyk, czyniono sobie straszne igrzysko; pokrywano ich skórą zwierząt, krzyżowano, palono i gdy dzień zapadł. Neron używał takich pochodni, ażeby ciemności noce rozpraszać“... Objaśnić trzeba, że pokrywanie skórą stosowało się do tych męczenników, którzy byli przeznaczani na pożarcie przez drapieżne zwierzęta, dla tem lepszego rozdrażnienia ich żarłokości i tem większej uciechy przyklaskującego ludu. Ulubione zaś pochodnie Nerona urządzały się w ten sposób, że zapalano na skazanych suknie napojone wpraw smółką, żywicą i woskiem.

Odwróćmy się, szanowni słuchacze, od tego nawalu obmierzłej ohydy, opuszcmy czasy pogańskiej starożytności, gdzie na wielką skalę rozwinięte niewolnictwo zatarło zda się i w panach i w niewolnikach wszelkie ludzkie znamiona; rzucmy zasłonę na to społeczeństwo, w którym wydaje się czasem, że już niema ludzi ani nawet zwierząt, ale tylko ludzkie ciała bez krwi i uczucia, nad którymi z dziką zajądłością pastwili się piekielne furey wiecznie zgłodniałej zemsty i chciwości.

„Niedobrem jest niewolnictwo z zasady swojej“ powiada Monteskiusz, bo szkodzi zarówno panu jak niewolnikom: tym ostatnim dla tego, że im odejmuje możność wyrobienia w sobie cnoty,—tamtemu dla tego, że obcowanie z niewolnikami, wyradza złe nałogi i pozwala niepostrzeżenie tłumić w sobie wszelkie moralne poczucie....¹⁾ Doświadczenie, mówi dalej, wskazuje, że w krajach, w których kary są łagodne, wywierają one na umysł ludzki takie same wrażenie, jakie gdzieindziej sprawiają kary surowe... Po ustanowieniu tych ostatnich złe w pierwszych chwilach tamuje się, ale wpływ władzy się zużywa. Wyobraźnia przyzwyczaja się do tej wielkiej kary, tak jak przyzwyczajała była do mniejszej; a że przez to osłabioną została obawa tej ostatniej, jest się w konieczności tamtą stosować wszędzie.... Nie trzeba prowadzić ludzi za pomocą skrajnych ostateczności; trzeba się posługiwać środkami, jakie do prowadzenia ich nastrożą natura. Badajmy przyczynę wszelkiego rozprężenia, a zobaczymy, iż ono pochodzi ztąd, że zbrodnia uchodzi bezkarnie a nie ztąd, że kara jest umiarkowaną....²⁾

W przytoczonych słowach głębokiego myśliciela znajdujemy, szanowni słuchacze, najlepsze wyjaśnienie tego niezmiennego upadku, do jakiego doszły państwa starożytne; w nich także znajdziemy wytłumaczenie przyczyny, dla której w państwach średniowiecznych lubo rozwijających się na łonie cywilizacji chrześcijańskiej, lecz niewolnionych jeszcze z niszczących pierwiastków samowoli, poddaństwa i przywilejów,—dla której mówię, widziemy tak powolny, tak niedostateczny postęp w dziedzinie pojęć karnych. I tu jeszcze przemaga uczucie zemsty; srogość względem winowajcy jest na porządku dziennym; a na każdym kroku przebiega się dziwne zaślepienie w określaniu przestępności czynów.

Kościół u szczytu swojej potęgi wpadł w ten sam błąd, jakiemu poprzednio ulegli jego prześladowcy; i nie wahał się wezwać do pomocy karzącego ramie-

¹⁾ Histoire de la civilisation en France.

²⁾ Delamare, Traité de police.

³⁾ Digesta lib. I. § 13 De quaestionibus i. Cod. Theod. lib. IX lit. XXXV.

¹⁾ Niektórzy nowi uczeni uderzeni tą niepojętą srogością przypuszczają że wyraz *secare* odnosił się chyba nie do osoby lecz do majątku dłużnika. Dla honoru ludzkości pożądanemby było aby się takie tłumaczenie usprawiedliwić dało, co jednakże nie jest jeszcze dowiedzionem.

¹⁾ Esprit des lois, Livre XV Chap. 1.

²⁾ Esprit des lois, Livre VI Chap. XII.

nia sprawiedliwości społecznej, ażeby w umysłach, sercach i sumieniach porządkować przemocą wedle przepisanej doktryny. Niewiara w gusła i czary na równi z czynnym w nich udziałem ze srogością była ścigana; dymiące stosy rozstrzygać miały wątpliwości ludzi myślących; gorliwości religijnej uczyć miało więzienie, a mniemany sojusze z czartem rozrywała śmierć męczeńska... Takie zadanie postawiła sobie *Święta Inkwizycja*. Historia potępiła to szalone dzieło tanatyzmu, rozgrzeszyła jednak ludzi, którzy z dobrą wiarą gnębili doczesność dla wieczności, dreczyli ciało, ażeby zbawić duszę; rozgrzeszyła ich potępienie, bo byli szczerymi wyznawcami tej wielkiej wiary miłości i braterstwa, która bądź co bądź pomimo wytkniętego zbroczenia uszlachetniała ludzkość, a zadaniu karnemu niepospolite oddała usługi. W zasadach religii chrześcijańskiej leżało odwiedzanie więźniów i opiekowanie się nimi. Po kościołach zbierano fundusze na takie cele, a w następstwie z pobudek religijnego miłosierdzia zawiązywało odpowiednie opiekuńcze towarzystwa dobroczynne. Z tych samych pobudek prawo łaski jako przywilej monarszy coraz szerszego nabierało znaczenia. A wreszcie kościół potrafił zdobyć i utrzymać przywilej niesłychany, prawo chronienia przed poszukiwaniem władzy świeckiej winowajcy, który uciekał się pod jego skrzydła.

Taka pomoc nie była zbyt cenną, ażeby walczyć przeciwko uczuciom zemsty i srogości, które w instynktach ludów silnie były zakorzenione, jak o tem przekonać mogą następujące przykłady:

W Anglii prawo z 1698 r. wymierzało karę śmierci za kradzież przedmiotu wartującego pięć szylingów, jeżeli była popełniona w stajni, magazynie lub sklepie. Prawo to obowiązywało, rzecz do uwierzenia trudna! aż do początku naszego stulecia. Kiedy w 1810 r. upomniano się o zmianę, ówczesny minister sprawiedliwości lord Ellenborough z taką bronił się naiwnością w izbie wyższej: „Jeżeli zniesiecie prawo, które wymierza karę śmierci za kradzież w sklepie do wysokości pięciu szylingów, w roku przyszłym zażądają od was, abyście zastosowali to samo do kradzieży przedmiotu tejże wartości popełnionej w domu prywatnym“¹⁾. Inne prawo angielskie z 1713 roku karało śmiercią ścięcie drzewa i kradzież królika. Prawo o polowaniu ogłoszone w Anglii przez Jerzego III odznacza się wygórowaną surowością. Za zabicie lub złowienie kuropatwy kara pieniężna dochodziła do 50 funtów szterlingów, a w razie niemożności uszczerbka zamieniano ją na sześciomiesięczne więzienie i publiczne wybicowanie; zabicie królika karano zesłaniem na siedm lat. Pomysłowość w wytwarzaniu urojonych zbrodni dochodziła do zadziwiających rozmiarów i przypomina najgorsze epoki zupełnej ciemnoty. Karę śmierci za czary zamieniono w Anglii dopiero za Jerzego II na wystawienie pod pręgierzem i roczne więzienie. Oskarżona o zamach na życie Henryka IV za pomocą czarów, księżna Gloucester, została skazaną na dożywotnie więzienie. Henryk VIII ogłosił w Anglii prawo, na mocy którego ten ktoby zapowiadał śmierć króla był winnym zbrodni obrażenia majestatu. Stało się, że gdy monarcha ten zachorował, żaden z lekarzy nie śmiał objawić prawdziwego swego zdania o grożącym niebezpieczeństwie.

Nie lepiej się działo we Francji. Aż do 1791 roku siedl na galery każdy, ktoby się ośmielił palić inny tytoń niż francuski. Przywilej rządowy wyłącznej sprzedaży soli był obwarowany najsurowszymi karami, które dochodziły w razie recydywy czyli powtórnego podobnego przestępstwa aż do kary śmierci; stan ten utrzymywał się do końca XVIII wieku.

Prawa przeciwko zbyt kom były we Francji na porządku dziennym od Filipa Pięknego aż do Ludwika XIV. Liczba potraw dozwolonych w zwyczajnym trybie życia i w czasie przyjęć uroczystych była określona przez prawodawcę; kucharz, który się ważył wykroczyć przeciwko przepisom, w razie powtórzenia się winy mógł się narazić na biczowanie i wygnanie. Ubiór prywatnych osób ulegał także kontroli państwa, a wykroczenia tego rodzaju podpadały pod przepisy karne. Za czasów Karola V panowała we Francji moda noszenia trzewików

z długimi zadartymi końcami, zwanymi *à la poulaine*, co elegantom i elegantkom ówczesnym pozwalało przystrojać nogi przeróżnymi ozdobami. Surowi moralisci upatrzili w tem coś przeciwnego naturze i sprawę wytoczono przed trybunał kościoła; sobory katolickie w 1212, 1365 i 1368 roku po kilkakrotnie potępiały tę modę. Ponieważ to jednak nie skutkowało, Karol V zadekretował zniesienie trzewików *à la poulaine* i postanowił co następuje: „Zabrania się wszystkim bez różnicy stanu i urodzenia pod karą 10 złotych, noszenia trzewików *à la poulaine*; ten zbytek jest bowiem przeciwny dobremu obyczajom, obraża Boga i kościół, a dogadza tylko próżności światowej i szalonej dumie“.

Pojęcie o rozciągłości władzy karzącej było tak po wszystkie czasy luźnem, a potrzeba zemsty w obec doznanej jakiegokolwiek szkody tak silną, że w XIV, XV i XVI wieku we Francji wytaczano formalne sporne procesa zwierzętom, jak psom, mułom, gąsienicom i innym, którym też z urzędu dodawano w tym celu obrońcę. W 1313 r. rozjuszony wół zabił człowieka; Karol hrabia Walencyi, na którego terytorjum ten wypadek miał miejsce, kazał stworzenie to przytrzymać i oddać pod sąd, który zawyrokował karę śmierci przez powieszenie, co ściśle zostało wykonanem w miejscu spełnionego zabójstwa. W r. 1499 podobny wypadek się powtórzył w innej miejscowości. W XVI wieku za panowania Franciszka I Jan Milon sędzia z Troyes w Szampanii wydał taki wyrok przeciwko gąsienicom: „po wysłuchaniu stron, zgodnie z żądaniem mieszkańców z Villenoce upominamy gąsienice ażeby się w ciągu sześciu dni oddaliły, inaczej niechaj będą przeklęte i wyjęte z pod prawa“. I nie były to czyny, jakby się zdawać mogło, wyjątkowego obłędu. W XVII wieku Gaspar Bailly ogłosił o tym przedmiocie dzieło z szczegółowymi wskazówkami, jakie formalności prawne należy zachowywać przy wytaczaniu procesu zwierzętom.

Tortura przy śledztwie sądowem była w powszechnem użyciu w całej Europie. Rozmaitych w niej używano środków jak np. zalewania wodą, parzenia ogniem, rozciągania ciała za pomocą lin lub odpowiednich drabin, ściskania go w żelaznych kleszczach, czapkach lub trzewikach, sadzania lub ustawiania przez czas przeciągły na wyostzonych podstawach i wielu innych. Silono się na pomysły najrozmaitsze. Przy zadawaniu tych męczarni delegaci sądowi zawsze byli obecni, często sami sędziowie, a nieraz najwyżsi dygnitarze. Oto jeden fakt z tysiąca, i to z najmniej srogich, zaszyły 84 lat temu we Francji, który przytaczam w dosłownem tłumaczeniu ze źródłowych danych¹⁾. „Przed sądem staje Marya Tison oskarżona o zamordowanie męża i idzie na tortury. Zaledwie jej ściśnięto palce żelaznymi kleszczami zaczęła wołać: jakże cierpię mój Boże! cóż mam mówić kiedy nie wiem! nie wiem kto zabił mego męża. Gdy następnie po skrępowaniu linami została poddana kilkakrotnemu rozciąganiu ciała zawołała: przez łitość, zabijcie mnie lepiej! Boże dopomóż mi, ja nie wiem o śmierci mego męża... nie wiem i nie mogę siebie potępić. Sąd uwiadomiony, że ramiona oskarżonej zostały wywinięte, kazał wstrzymać rozciąganie nie zwalniając więzów; lekarze podali jej ocet dla orzeźwienia; pozostawała w omdleniu przez godzinę; następnie wznowiając skargi i złorzeczenia rzekła: zabiłam mego męża tak samo jak wy go zabiliście. Rozciągana powtórnie, powiedziała: róbcie co chcecie, ja nie zabiłam mego męża. Gdy jeszcze ponownie była rozciągana, straciła przytomność, i wtedy dopiero ją zdjęto“.

Jeżeli taki był nastrój umysłów i taką ich działalność w najwięcej ucywilizowanych narodach Europy, pośród najwyższej wykształconych stanów społeczeństwa—coż dziać się musiało w narodach i stanach mniej oświeconych? Jeżeli ludzkie piastawy najwyższe godności, wyznaczeni obrońcy praw obywateli—bezzinteresownie, z dobrą wiarą, czystym sumieniem i niezachwianą pewnością dopuszczać się mogli czynów tak okrutnych lub tak niedorzecznych, coż dziać się musiało tam, gdzie namiętność i samolubne widoki zaciemniały i tę odrobinę wiedzy, tłumy i tę odrobinę uczuć, jakie w duszy człowieka

pozostały jeszcze nieskażonymi?... Uświęcony wiekami pierwiastek ślepej a zuchwałej samowoli jednego względem drugiego,—tak trafnie przez Monteskiusza potępiony — jakichże nie mógł szerzyć spustoszeń w stosunkach rodzinnych społecznych i politycznych, tam gdzie istniało złagodzone niewolnictwo pod postacią poddaństwa i gdzie feudalizm wytworzył względną zależność nawet wolnych ludzi?... Nie mogę tu wchodzić w szczegóły; a byłyby one ciekawe, nadewszystko przerażająco smutne. Obok surowych lecz jawnie wymierzanych kar, obok przepełnionych więzień, z których choroby i głód wybierały tysiące ofiar, owych więzień, które opisując Röder, z powodu ciasnoty, brudu, wilgoci, zimna i ciemności nazywa psimi lochami—obok tego wszystkiego, co przejmujące dreszczem, lecz przynajmniej widzieć się dało i na kojące pociechy religii i miłosierdzia było dostępne—obok tego mówię, istniały wspaniałe zamki feudalnych panów. A każdy zamek taki, to warownia nieprzebyta, to niby państwko samodzielne z naczelnikiem samowładnym, wojskiem posłusznym i ludem poddanym — to niby społeczność odrębna ze swoimi przyniotami i wadami, cnotami i występkami, a więc—i inaczej być nie mogło w takim stanie rzeczy — ze swoim odrębnym kodeksem karnym. Jakim mógł być ten kodeks, jakim jego stosowanie, o tem opiewają w ponurych tonach pisane i nie pisane kroniki przywiązane do ruin starzych zamczysk i do tajemniczych baszt i lochów, w których złoczyńca lub może tylko pokonany wróg przykuty do muru konał głodową śmiercią!...

A jednakże jasna gwiazda świeciła ludzkości i już jej dawno inną wskazywała drogę. Kiedy Jezus skruszonemu złoczyńcy na krzyżu wybacza i obiecuje królestwo niebieskie, występuje wtedy jako posłannik Boży względem winowajcy, na którym spełniła się i wyczerpała sprawiedliwość ziemską. Ale kiedy przed sąd jego przewodnicy ludu, nauczani w piśmie jak powiada ewangelista¹⁾, powołują upadłą niewiastę, domagają się już od niego nie moralnej doktryny ale wyroku, jaki społeczeństwo na występki takie wymierzyć powinno. „W zakonie nam Mojżesz przykazał takie kamienować; a ty co mówisz?...“ pyta mistrza uczoność ówczesna, a przezeń pyta sumienie odrodzonej ludzkości. W zachowaniu się Jezusa, w każdym Jego słowie tkwi tutaj wielka nauka dla potomności.

Powołany na sędziego nauczyciel nowej wiary rozbraja najprzód dziką żądzę zemsty tem pogłębiającem wezwaniem: „kto z was jest bez grzechu niech na nią pierwszy kamieniem rzuci“ — a tem samem potępią tę pierwotną formę ludzkiej sprawiedliwości i wypowiada jasno, że człowiek jako istota ułomna nie może przywłaszczać sobie prawa do wymierzania bezwzględnych nieodwołalnych wyroków; uchyła tem samem karę śmierci usankcjonowaną prawem starego zakonu. Dalej Jezus nie dopuszcza, ażeby roznamiętniony oskarżający lud wyrokował i wyrok zarazem wykonywał; a wznosząc się ponad panujące pojęcia, szuka w skupieniu ducha dokładnego ocenienia stopnia winy i moralnego stanu winowajcy. „I zaś schyliwszy się, mówi Pismo Święte, Jezus pisał na ziemi... a podniósłszy się i żadnego nie widząc tylko onę niewiastę, rzekł jej: ... ja ciebie nie potępiam, idźże a już więcej nie grzesz“. I mówi to Jezus powtarzając z naciskiem, nie jako moralista roztrząsający sprawę sumienia, ale jako sędzia do wyrokowania powołany; — mówi to do niewiasty, która na zasadzie prawa Mojżeszowego śmiercią powinna być karana. Więc coż to zaszło takiego, że ten krok śmiały można było uczynić, że zupełna zewnętrzna bezkarność miejsce kary śmierci zająć mogła?... Stała się w istocie rzecz wielka, w nieobliczone następstwa obfiata; stało się, że w człowieku pierwiastek duchowy; wziął stanowczą przewagę nad pierwiastkiem myślowym; że do materialnych warunków przestępnego czynu przyłączyły się z rozstrzygającym znaczeniem moralne warunki winy; że do widomych cech kary zewnętrznej przyłączyły się niewidome wewnętrzne cierpienia, które ją uzupełniają a czasem zastąpić mogą; — stało się, że do wyrokowania na miejscu kamiennej litery prawa zjawilo się sumienie duszy miłującej cnotę, lecz łitościwej

¹⁾ Emile de Girardin. Du droit de punir.

¹⁾ Charles Desmazes. Les pénalités anciennes str. 176.

¹⁾ Śty Jan. Ewangelista rozdział VIII.

dla błądzących;—stało się wreszcie, że w winowajcy dopatrzone się także sumienia i że jego zgryzoty rzucano na szalę sprawiedliwości ziemskiej, a zapowiedzi poprawy przyrzeczono bezkarność.... Ja ciebie nie potępiam idźcie, a więcej nie grzesz—powiedział wielki nowy prawodawca; zobaczmy czy ludzkość to za nim powtórzyła — czy i o ile sądy ziemskie przyswoiły sobie tę wzniosłą i jedynie prawdziwą naukę?

(Dalsz ciąg nastąpi).

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

— Nic... Zaczęło się niczem i skończyło się niczem, zrobiłem znajomość jednej ekszelleneyi więcej co mnie cieszyć powinno wiele. Człęk (tu Anglik dopuścił się gry wyrazów, nie mogącej się oddać w tłumaczeniu polskim), ocierając się o doskonałości, sam się doskonałością uczuwa.

— Odpowiednią tej, o którą się ociera — wtracił doktor.

— To się rozumie. Ztąd też to przyjacielu tyle brudu na świecie.

— Pokazuje się, że doskonałości stempowane nie są konieczne prawdziwymi. Stempel nie odpowiada towarowi. O ile pierwszy świetny, o tyle drugi lichy. Z tem wszystkiem, Sefer pasza podobał mi się. Jest to typ męża stanu.

— Tureckiego—dodał doktor.

— Tureckiego, angielskiego, francuzkiego, niemieckiego... ehl! wszyscy oni jedni.

Ręką machnął.

— Zmieńmy jednak przedmiot rozmowy. Czy nieciekawys dowiedzieć się, czem się bawię?...

— I owszem, ciekawym, pragnął bym bowiem, ażeby zabawa twoja raz przecie na drogę pożyteczności weszła.

— Jeżeli tak, to się nie dowiesz.

— Czemu?...

— Bo opowiadanie moje nie zaspokoiliby pragnienia twego.

Doktor nalegał, Anglik się uparł i, w celu odwrócenia od materii tej rozmowy, począł rozpytywać o zarnickich swoich znajomych, zaczynając od mudira a kończąc na doktorowej.

— Pani twoja... jakże?...

Doktor odpowiedział o szkole maskowanej.

Anglik, wysłuchawszy uważnie do końca, zabrał nagle głos i mówił w wrastającym stopniowo zapałem, który w ustach jego dziwnie się jakoś wydawał:

— Wiesz ty ja ją uwielbiam. Oto prawdziwa doskonałość, złoto czyste!... Zapewne, temu przeczyć nie myślę, że w tym miliardzie istot ludzkich, które kulę ziemską zaludniają, znajdzie się nie jedna jej równa. Lecz ja, byłem taki nieszczęśliwy, że nie znalazł tylko ją jedną i ona mnie z ludźmi i ze światem pogodziła. Uwielbiam więc ją, uwielbiam, nie jako niewiastę, ale jako człowieka!... *C'est gal!*...—rzekł, dla dobitności snadź, po francuzku. Oó ty na to, doktorze?...

— Cóż innego odpowiedzieć może mąż, słuchając o żonie własnej słów takich, jak?...

Wyciągnął do Anglika rękę i dłoń mu uściśnął.

W tym sposobie rozwinęła się rozmowa i toczyła, gdy ją przerwało wejście figury jakiejś nieznaney, która z nieśmiałością do izby się wsunęła. Był to człowiek lat trzydziestu mniej więcej, w odzieży pół wojskowej pół cywilnej, mina marsowa, na piersiach parę wstążeczek orderowych, na nogach buty, na szyi krawatka dobrze zawiązana, na głowie fez sztywnie włożony i trochę na bakier przechylony—wyraźnie cudzoziemiec. Wszedł, ogłędął się i zapytał:

— Czy tu doktor, Emanuel Stanko?...

Mówił po bułgarsku, ale nie czysto, akcentując wyrazy i wymawiając spółgłoski niby z niemieckiego z innego jakiegoś języka.

Doktor odpowiedział mu, że jest tym właśnie, o którego pyta.

Nieznajomy westchnął.

— O, jakże ja szczęśliwy, że znajduję ciebie *hospodini!*... Tyle o tobie słyszałem!...

— Od kogo?—podchwycił doktor zdziwiony nieco. Imię moje nie głośne i ja nie staram się o nadanie onemu rozgłosu.

— Ale masz kolegów i przyjaciół. Jednego z nich znałem.

— Kogo?...

— Stanoja Stojanowicza.

— Al... On w Konstantynopolu.

— W Konstantynopolu też zabrałem z nim znajomość i on mnie o tobie często mówił, tak że niewiedząc cię nigdy, znam ciebie o tyle, że dowiedziawszy się przypadkiem, iż się w Ruszczuku znajdujesz, udaje się do ciebie z prośbą o pomoc.

— Umiesz po angielsku? — zapytał nagle Anglik który w chwili nadejścia nieznajomego, usiadł z boku i pilnie mu się przypatrywał z daleka.

— Trochę... rozumiem—odparł zapytany, nie patrząc na mister Waytona.

— Szkoda....

— Wyraz „szkoda“ wymówionym był z przyciskiem tak znaczącym, że doktor mimowolnie spojrzął na przyjaciela ze zdziwieniem lekkim w oczach i zwracając się do nieznajomego, rzekł:

— O jakąż pomoc?...

— Lekarską. Noszę się z kulą poniżej kłębku, która mi zawadza. Rana się to zabliznia, to otwiera, ropi i dokucza. Poradź mi co.

— Musiałbym opatrzyć.

— Jeżeli ci panowie pozwolą — odezwał się nieznajomy, zwracając się z wyrazem prośby w oczach do Anglika i Stojana.

Stojan pierwszy odpowiedział, że i owszem, Anglik odpowiedź Stojana poparł milczeniem.

Nieznajomy otworzył odzież w miejscu, które było do opatrzenia. W rzeczy samej miał ranę i miał kulę w głębi. Doktor opatrzył, obmacał palcami do koła, głową pokręcił i rzekł:

— To oddawna już zagojone być mogło.

— Gdybym miał czem lekarzy opłacać, doktorze — odparł nieznajomy i westchnął głęboko, a ogarniając na sobie odzież, dodał: Taka to nagroda za poświęcenie!... Człęk się zmarnował, wystugiwał i ot co... przyjdzie zginąć za życia.

— Ji... nie tak to źle—odrzekł doktor. Niebezpieczeństwa nie masz żadnego, potrzeba jeno leczenia starannego: wyjąć kulę i ranę opatrzyć troskliwie.

— Któż mi kulę wyjmie! któż ranę opatrzy!... Rzeźnicy tutejsi każą sobie płacić z góry, a ja nie mam czem.

— Nie mam tu z sobą ani instrumentów, ani lekarstw—były słowa doktora.

— Gdybym się zawlókł do Zarnicy, to mógłbym mieć nadzieję, że mi pomoc dasz? — było zapytanie nieznajomego.

— Nie odmawiam jej nikomu, nie odmówię zatem i panu.

— To dobrze. Dziękuję ci doktorze—odparł nieznajomy z radością, podając doktorowi dłoń do uściśnienia. Wszystko dla mnie jedno, w Ruszczuku czy w Zarnicy. Może się tam przydam na co. Służyłem Turkom, wykierowali mnie na żebraka. Służyć chcę teraz Bułgarom, dla których ta kulą świadectwem będzie, że kiedy komu służyć, to nie na żarty. No, doktorze, do zobaczyska!...

Kiwnął głową, na lewo w tył zwrot wykonał i wyszedł.

Zaledwo on próg przestąpił, a Stojan do szwagra w te odezwał się słowa:

— Niechby się przysiadł z nami. W harabie, którą pojedziemy, byłoby miejsce na sześciu, nie to na trzech. Harabadzi bierze od woza, nie od głowy.

Doktor usta już otwierał, w celu zapewne dania Stojanowi odpowiedzi aprobującej, gdy się Anglik odezwał, rękę wyciągając:

— Zostaw go. Znajdzie on drogę i trafi, nie to do Zarnicy, ale na dwór cesarza Dohomeju.

— Pomogłoby mu się jednak — podchwycił doktor.

— Gdyby on o pomoc prosił mnie, dałbym mu jermelika, w kark i za drzwi wytrącił.

— Dwa dodatki ostatnie byłyby zbyteczne.

— Bynajmniej. Człowiekowi temu źle z oczów patrzy....

— Masz bo uprzedzenie do rodzaju ludzkiego.

— Nie do całego. Przypuszczam wyjątki... i co ci jeszcze powiem, przypuszczam wyjątki na dwóch krańcach, na dodatnim i na ujemnym, pomiędzy którymi rusza się mrowisko ludzkościowe, przeważając się raz w jedną, znów w drugą stronę. Tego interesującego rannego umieszczam w pobliżu tego krańca, na którym tkwi jego ekscellencja, Sefer pasza.

Doktor w żart obrócił przestrożę mister Waytona nazywając ją bezpodstawną.

— Bezpodstawną!—zawołał Anglik.

— Na czem—że ją opierasz?...

— Na studiach fizyognomicznych, którym się, niemając co lepszego do robienia, oddaję.

Rzekłszy to z niecierpliwością ręką rzucił i zawołał:

— Masz go! Za język mnie pociągnąłeś. Nie chciałem się przyznawać przed tobą do tego, czem się bawię i przyznałem się niechętnie.

— Aaa? — doktor na to. Zdrowości jednak nie ma w tem żadnej. Stałeś się tylko człowiekiem niebezpiecznym dla śmiertelników zwyczajnych. Jesteś sędzią śledczym, referującym od oka.

— Phi. Tem ci gorzej dla śmiertelników; co się mnie jednak tyczy, znalazłem w tych studiach morza do wypicia.

— Jak w każdych innych. Gdybyś się zajął studyowaniem zwyczajów i obyczajów... mrówki na przykład... to i w tem znalazłbyś to samo.

— Zapewne—rzekł Anglik głowę spuszczać.

— Zkąd—że ci to przyszło?...

— Rozumni natchnęli mnie tą myślą. Wpadła mi śród nich w oczy taka rażąca sprzeczność pomiędzy słowem a czynem, że mimowolnie zacząłem się wpatrywać w fizygnomie ich i dostrzegłem sprzeczność tę wypisaną na takowych zgłoskach wielkimi. Ztąd poszło; a ty wiesz, że, byle zacząć, to się człowiek znałoguje, jak do kieliszka.

— Niebezpieczny z ciebie człowiek — powtórzył doktor tonem półżartu. Mniejsza jednak o to. Rzecz ważniejsza, jak na ten raz: co z sobą robisz?... Wszak jedziesz z nami?...

— Dokąd?...

— Do Zarnicy...

— Nie, odparł anglik przeciągle, kiwając horyzontalnie palcem. Nie mogę...

— Mogłeś przecie do Ruszczuku przyjechać.

— To co innego. Zaznaczyłem w programie moim wypadki nadzwyczajne, a to był nadzwyczajny. Przeminał i program powraca do mocy swojej, której nie przemogą bramy piekielne. Jadę do Gałacu, gdzie zabawię mam jeszcze miesiące siedem, dni szesnaście, godzin (tu wy dobył zegarek i popatrzył) cztery, minut siedemnaście....

Doktor się uśmiechnął i ochrzknął...

— Co?—zapytał mister Wayton.

— Dziwak jesteś, przyjacielu...

— Rozpocząłem przeto studia ciekawe — prawil Anglik tonem jaknajbardziej seryo. Natrafiłem na egzemplarz osobliwy, który mnie co chwila z toru strąca. Mieni mi się w oczach jak kameleon, raz jest to szatan prawdziwy, znów anioł prawdziwy, i zawsze prawdziwy... tak że nie wiem, czem on jest w rzeczy samej, a chciałbym się o tem dowiedzieć koniecznie.

— Ja ci powiem, czem on jest.

— No?—zapytał Anglik.

— Historykiem... zwłaszcza, jeżeli to kobieta.

— Kobieta.

— Więc do studyowania jej, idź najprzód na fakultet medyczny i skończ go jak należy.

— Co tobie!—zawołał mister Wayton tonem protestu. Chodźmy raczej zjeść co. Po mnie statek niebawem przyjdzie, a na was haraba już czeka.

Propozycja ta zanadto była racjonalna i na czasie, ażeby odrzuconą być miała. Doktor, pomimo że zrestaurował siły swoje znacznie, czuł jednak znużenie a szczególnie głód. Zamówiony posiłek był już gotów. Przyjaciele zasiedli do stołu z apetytem świetnym. Anglik był w humorze dobrym, rozmawiał ze Stojanem po bułgarsku, kalecząc język ten niemiłosiernie; Stojan zaś był tego przekonania

że to język angielski, starał się więc nim mówić, naśladowując sposób wymawiania Anglika. Doktor świadek tych popisów, dla tego tylko śmiechem nie zachodząc, że oszczędzać sobie musiał boki i krzyże które go bolały. Skończyło się jednak jedzenie, skończyła się i rozmowa. Stojan odprowadził mister Waytona do przystani, pożegnał się z nim, powrócił i wraz z doktorem puścił się w powrotną podróż do Zarnicy.

Haraba, która ich wiozła, toczyła się raz wolniej, znów prędzej stosownie do tego jak woźnica Turek ponaglał konie, co ja ciągnęły. Gdy je szturchał kijem w uda, to pospieszały; gdy się zadumał lub zdrzemnął, konie folgowały sobie i szły stępą. Ruszczył coraz to dalej i dalej, pomiędzy harabą a stolicą Bułgarii była już godzina drogi, gdy nagle o uszy podróżnych obil się wyraz:

— Stój!...

Doktor i Stojan razem z budy głowy wychylili.

— Al... to wyl... psss.

Na psyknięcie konie stanęły. Napróżno je woźnica lejcami targał i kijem szturchał. Uparły się, posłuszne psyknięciu, które wydał ów nieznajomy, co przychodził do doktora z zadaniem porady lekarskiej. Ubrany był tak samo jak zrana, miał kij sękaty w rękę i torbę parcianą przez ramię na sznurku zawieszoną. Twarz jego uprzejmie była uśmiechnięta. Pozdrowił doktora i Stojana.

— A niema tam miejsca obok was? — zapytał bez ceremonii.

— Ta i jakżeby nie było!... — odparł Stojan.

— Wy jedziecie, ja idę w jedną drogę.

— A w jedną.

— Poproszę mnie uprzejmie, to będę wam za towarzysza.

Na przymówkę tak wyraźną, można odpowiadać odmownie! Nieznajomy wskoczył na wóz, umieścił się plecami do woźnicy, konie ruszyły.

Doktora, przestroga Anglika, pomimo że na serwo jej nie brał, natchnęła jednak pewnym rodzajem nieufności do człowieka, któremu nie ufać nie miał powodu słusznego. Nie miał jednak powodu ufać. Trzymał się przeto względem niego obojętnie, rozmową go nie zaczepiał, nie był jednak w stanie uszów sobie zatknąć i nie słuchać tego, co on mówił. A rozgał się. Zwrócił się najprzód do woźnicy i zaczął go po turecku. Woźnica odpowiedział. Odezwał się następnie do niego po bułgarsku. Turek językiem emoknął i głową rzucił.

— *Bilmes bulgarce?*...

— *Bilmem* — była odpowiedź zapytanego.

— No, to człek ten głuchy — rzekł zwracając do doktora mowę. Można przy nim rozmawiać, jak przy kamieniu, nie usłyszysz i nie powtórzysz.

Doktor ramionami ruszył, jakby okazać chciał, że jest to rzecz dla niego obojętna.

— Ja bo Turków nie lubię, ciągnął nieznajomy. O! nienawidzę ich!... To naród podstępny, przewrotny, zły wiary, o!... znam ja ich na wylot.

Stojanowi widocznie mowa ta podobała się.

— Toś ty chyba z Turkami miał dużo do czynienia?... — spytał.

— Czy dużo?... Ja im się wysługiwałem, jak pies, ja za nich głowę nastawiał.

— A zkądże ty?... —

— Zkąd?... Chociażbym powiedział, to się to tobie na nic nie przyda.

— A jak się nazywałeś?... —

— Nazywają mnie Marek-bej.... Maruk-bej.

— O! — odezwał się Stojan, usłyszawszy dodatek „bej“ przy imieniu.

Nieznajomy zrozumiał znaczenie wykrzyknika, uakcentowanego zdziwieniem. Uśmiechnął się i rzekł:

— Ja bej, ale nie turecki. Ja graf z rodu. Wiesz ty, co to graf?... —

— Jestto więcej aniżeli bej, ale u Turków niema na to wyrazu. To podły naród... nie umieją człowieka nie tylko wynagrodzić, ale nawet nazwać jak należy. Dla tego też odczepiłem się od nich. Niech im psy służą. Czy widzisz te wstążeczki? — zapytał, ukazując palcem na piersi.

Stojan głową kiwnął.

— Jedna od sułtana, druga od królowej angielskiej, trzecia od cesarza Francuzów, czwarta od króla włoskiego. Mam jeszcze i od Garibaldi, i od Kossuta, ale te w kieszeni noszę. Otóż widzisz,

wszędzie ja głowę nadstawiał... i ot... nie mam na chleba kawałek....

Rozmowa wciąż toczyła się w tym rodzaju.

XVI.

Plan zburzony.

— Ty mi nie ufasz, stary... a niesłusznie.

Tak mówił Kir-Michałaki do starego Szumlańskiego.

Zbytecznem byłoby zdawanie sprawy przed czytelnikiem z tego jak on się znalazł pod dachem domu smutkiem dotkniętego. Stanowi to specyalną właściwość ludzi tego, co on, rodzaju, znajdować się tam gdzie obecność ich jest najmniej potrzebną. Który to czuje i rozumie, ten stosownie do tego rolę swoją układa, usiłując postawić się tak, żeby się pokazało, iż jest koniecznym. Kir-Michałaki czuł i rozumiał, że stary Szumlański okupiłby się chętnie od widoku osoby jego, w takiej zwłaszcza chwili, jaka nastąpiła po wywiezieniu doktora i odjechaniu Stojana i Aleksandra. Ta chwila jednak wydała mu się właśnie najodpowiedniejszą. Nie było nikogo, tylko stary i kobiety. Kobiety nie liczą się. Miał przeto do czynienia ze starcem, z którym — zapewne — sprawa wydawała się mu łatwą.

— Ty mi nie ufasz niesłusznie — mówił. Nie ufasz mi dla tego, żeś Grek. Co ja temu winienem, powiedz mi... co ja temu winienem, żeś Grek?

Postawienie takiej kwestyi dowodziło sprytu nie-małego w Kir-Michałakim. W rzeczy samej, nie on temu winien nie był. To też stary nic innego do odpowiedzi nie miał, jak to, że go nikt nie obwinia i obwiniać nie może.

— Ja temu nie winienem — ciągnął, Grek — ani temu, że mam interesa, że handel prowadzę, że odkup trzymam, że o siebie się staram. Człowiek każdy robi to samo. I ty masz interesa, i ty handel prowadzisz, i ty pariczki zbierasz. Czyż nie prawda?

— Prawda — odparł Szumlański.

— Mając interesa, musisz się wdawać ze zwierzchnością, musisz kłaniać się kajmakanom, mudirowi, kademu... prawda?... —

— Prawda... —

— Ty Bulgar, ja Grek... kraj bułgarski, a zatem was Bułgarów tu więcej, aniżeli nas Greków, jesteście więc dla zwierzchności niebezpieczniejsi... i dla tego to, zwierzchność okazuje się względem was sroższą i niesprawiedliwszą niż względem nas... My Grecy z tego korzystamy... ot i wszystko. Nie idzie jednak za tem, żebyśmy mieli z Turkami trzymać.... O, nie!...

— Nie trzymacie jednak z Bułgarami — wtrącił stary.

— No nie, mówiąc o wszystkich, wiesz bowiem, że gdzie o pariczki chodzi, tam się człowiek ogląda najprzód na siebie samego. Ale miarą wszystkich mierzyć nie można każdego z osobna.

Zamilkł na chwilę, jakby w oczekiwaniu objęty jakowejś ze strony starego, widząc jednak, że ten nie odzywa się, ciągnął dalej:

— Ot ja na przykład. Jeżeli ty myślisz, że Michałaki tiutiundzi jest taki sam, jak wszyscy Grecy, to ty Boga obrażasz... Ja Grek, bom się grekiem urodził, ja się staram o siebie, bom człowiek, ja się kłaniam zwierzchności tureckiej, bo i ty się jej kłaniasz... ale ja... ja!... ja!... Ot widzisz. Przypomnij ty sobie jeno: jak miało na was spaść to nieszczęście, kto do ciebie przyszedł i powiedział, że spotka was przygoda jakaś?... Choć do mudira Popa-Kostaki, chodzą inni... musiał mudir i ich o was rozpytać, a czy który przyszedł i ostrzegł?... —

Stary zrobił ramionami i brwiami gięst, oznaczający przeczenie.

— Nikt nie przyszedł, a ja przyszedł.

— Dziękuję tobie — rzekł stary, nie wiedząc za co właściwie dziękował.

(Dokończenie nastąpi).

OSTATNI Z SIENIUTÓW.

Wspomnienie.

Jednocześnie ze zgonem na knyszyńskim zamczku, w drugiej połowie XVI wieku, ostatniego Jagiellona, znikają z widowni dziejowej imiona, co tworzyły w ciągu stuleci czoło narodu. Stare rody gasną powoli. Ostatni przedstawiciele znikających rodów, samotni, nie mając komu przekazać spuścizny prastarej sławy, szybko jeden po drugim kładną się do sarkofagów.

Tłumy orężne, ciągnące po zgonie ostatniego Jagiellona na pola Woli, są zwiastunami nowej doby dziejowej, w której ludzie nowi, wczoraj nieznani, mają wnieść na kartę historii swe imiona, dotąd obijające się tylko o zagrodę ościennego siola, a zupełnie obce poza granicą powiatu. Wśród powodzi ludzi nowych, te nawet ze starych rodów, co pasma swego istnienia nie przerwały w ciągu wieków i do obecnej doby przetrwały, ustępują niejako dobrowolnie z szerszego pola działalności, jakby się obawiały być zawadą dla przybyszów na arenie dziejowej. Bliżsi i dalsi zapominają o nich; a ławy poselskie, niemniej jak krzesła senatu omijają ich stale, przechodząc do imion nowych, do mnogich gromad szlacheckiej szlachty. Gdy siermiężna brać urasta na starostwach, pnie się do kasztelanii, bodaj drażkowych, i sięga niekiedy nawet po koronę wnuków Gedyminowych, prastare rody nie wychylają się poza ściany siedzib swych ojców, dalekie od chęci posiadania *panem bene merentium*, ubożeją; i ostatni przedstawiciele możnowładczych imion dzierżą maluczkie jeno zagony, zamiast olbrzymich obszarów.

Nasi badacze przeszłości krajowej niesłusznie mienią niektórych z nich dawno zgasłymi rodami; gdy tymczasem takowe do dziś przetrwały. Zasłużeni na polu eksploracji dziejowej kraju Tymoteusz Lipiński i M. Baliński, w 1845 r., mówią o Sieniutach, mienią ich rodziną „oddawną już wygasłą“ (Star. Pol. T. II, str. 628). Młodzi pracownicy niwy historycznej błąd ten powtarzają.

We dwadzieścia lat po opracowywaniu cennych studyów Balińskiego istniał jeszcze jeden z Sieniutów. Był to już ostatni z rodziny. Druga połowa XIX wieku oglądała jeszcze potomka możnego i znanego imienia za dni Kaźmirza Jagiellończyka i jego synów. Zgasł on w latach obecnych, nie zostawiając potomka po mieczu, a unosząc do mogiły imię nieskalane świetnej plejady praojców, opromienione przymem aureolą własnych cnót cichych, domowych.

Jak samo miano rodziny wskazuje, byli Sieniutowie starodawnym domem rusińskim na Wołyniu. Herb ich, tegoż miana, był białym sztandarem z krzyżem u szczytu. Jakis Symeon przekazał potomkom na całe półtyścia lat swe imię, jako nazwę rodu. Tak jak Mykita jakiś, ginący w pomroce epoki Rurkowiczów, rozpoczął cały szereg Misków (niesłusznie mienionych przez J. Bartoszewicza Myszkami), a Denys stał się fundatorem rodziny Denysków, o których lud w okolicach Krzemieńca do dziś wspomina, w pieśni o królowej Bonie, mówiąc: „a nasz Denysko, dobre panysko“...

W XV wieku Sieniutowie są domem możnym, dzierżąc szerokie włości ponad górnym Horyniem. Do dziś pozostały ślady w metrykach koronnych, iż o część dóbr swych wołyńskich zniewoleni są Sieniutowie toczyć proces z rycerskim, osiadłym na Podolu, domem Jarmolińskich. Wyrok Zygmunta I, ferowany w tej sprawie na Wawelu w r. 1538, wyrażnie orzeka, co do sześciu wiosek, które nieprawnie zabrał nieletnim Sieniutom Wasyl Jarmoliński, że Sieniutowie „majut ich używały, jako własności swojeje podawnomu“. Wskazówką to jest przeto niezaprzeczoną, iż owe osady, w liczbie których czytamy i Lachowce — na których się pisał i ostatni Sieniuta — od wieków było własnością Sieniutów prastarych ziemian Wołynia. Dobra owe, przedmiot zabiegów wspomnianego Jarmolińskiego, stanowiły

1) Tablice historyczne w Bibl. W. r. 1865, T. III, str. 495.

tylko część posiadłości ówczesnych Sieniutów, bo na trzy lata przed procesem, rozszukanym w Krakowie, tenże sam „Hryćko Sieniuta“ co stał w imieniu brata Romana i siostry: Kateryny, Anny i Neradki (tak) przed królewskim majestatem na Wawelu, sprzedaje na Wołynie wespół z bratem „Horodyszcze Tychomla“, gródek obronny, obecnie nazywający się Jampol, synowi znanej w dziejach domowych rodziny Jagiellońskiej szlachezki, Katarzyny Telnicz, Janowi, biskupowi wileńskiemu. Pozostały wówczas Sieniutom inne mnogie włości, czego wskazówki posiadały archiwa grodzkie krzemienieckie, gdyż w obrębie ówczesnego powiatu Krzemienieckiego przeobrażenie spotykamy ich miasta i siola. Odprzedawczy obronny Horodyszcze, zatrzymują przy sobie tuż koło niego leżący i również w obec gęstych inkursji najeżony ostrokoły, gródek Tychoml, który wraz z Lachowcami był przedniejszą siedzibą Sieniutów. Dziedziny ich, acz szeroko się rozsiadły, nie przekraczały wszakże, z małemi chyba wyjątki poza obszary powiatu Krzemienieckiego. Do wyjątków zaliczyć należy Sieniutę, nieznanego z imienia, który posiadał w XVI w. pod Włodzimierzem wieś Chmielów, jak to nam opowiada lustracya z r. 1552, mieniła posiadacza Chmielowa „Sieniutycz“, co wskazuje, iż było to znać młode pachołę, niedawno odbiegłe od wspólnego gniazda ojców, które przed wiekami było uwite na Krzemienieckiej wyżynie.

Lata przysparzały dostatków rycerskiemu domowi, co nie zabacało o dobroć osad podległych. W XVII stuleciu widzimy, iż Sieniutowie uzyskują prawo magdeburskie dla Tychomla, który jeżeli później nie wzrasta, a staje się wreszcie wsią, jaką jest obecnie, to jedynie ze względu na mnogie klęski wrażeń powodzi wciąż uderzających o ową, omal nie kresową, dzielnicę kraju.

We trzydziści dwa lata po uzyskaniu przez Abrahama z Lachowiec Sieniutę przywileju Zygmunta III, na magdeburgię dla Tychomla, okolica ta właśnie stała się polem jednej z najkrwawszych katastrof przez jakie w XVII przechodziło państwo Wazów. Krew zalała wszystkie ziemie ruskie aż po Horyń, grody i siola przedzierzgały się na rumowiska z kości mieszkanców i popiołu ich siedzib. Setkami osady, dotąd kwitające, ginęły wśród ogólnej pożogi, a niekiedy zatracaly nawet swe miano, by nigdy nie powstać i stać się ugiem, który za ledwie późniejsze wieki zdołały zamienić na urodzajną niwę. Kraj cały od Bohu po Styr gorzał wielką łuną pożaru, a miasta sąsiednie Tychomlowi, wedle słów współczesnego świadka Adama Kisiela „stały się Ukrainą“ — to jest kresem ziem osiadłych, pustkowiem.

Cenna dla historii ówczesnych klęsk kronika izraelity Natana Moskowieza, opowiadająca krwawe dzieje okolicy zawartej między Słuczą i Horyniem, rozszerzając się o wycięciu w pień dziesięciu tysięcy ludu, co szukał ochrony poza wałami Polonnego, zamienia o Tychomlu. Zważywszy wszakże, iż leżał ów gródek na głównym szlaku najeźdźczych czambułów, nie dziwny się szybkiemu upadkowi.

Tychoml i w dniach spokoju i podczas doby niedoli nie przestawał być siedzibą Sieniutów. Rodzina ta stała się zwolenniczką nauki Aryusza, w czasach gdy u nas mniodzy przeszczepiali na rodzinnej glebie nowinki religijne, zaczerpnięte na obczyźnie. W epocę gdy kniaziowie Prońscy na polach Beresteczka wznosili grobowce dla swej rodziny, wyznającej arianizm, podobne mauzoleum, poświęcone ceniom zmarłych członków rodu i zarazem współwyznawców, pod Tychomlem wzniesli Sieniutowie. Jedne i drugie grobowce do dziś przetrwały¹⁾; a wieśniak orząc pola tyhomelskie i obecnie każdą wyoraną kosę mieni szczątkami Sieniutów, którzy wedle obyczaju swej wiary grzebali się w miejscach ustronnych.

Z biegiem lat Sieniutowie tak się rozrodzili, iż rozróżniano cztery oddzielne gałęzie ich szczepu: La-

chowicką, Tychomelską, Olszaniecką i Radohoską. Udziałem pierwszej było przetrwać najdłużej; i ona to należała w XVII w. do najznakomitszych rodzin Wołynia, posiadała zaś obszerne włości i mnogie skarby.

Już w XVI wieku Sieniutowie Lachowiecy kołaczą do tronu o przywileje dla swych Lachowiec i uzyskują w r. 1583 Magdeburgię. Mieścina wzrasta, ozdabia się, ale inkursye nieprzyjacielskie wciąż na nią spadają, niszcząc dobrobyt osady i rozpraszając skarbiec słynnego ze swych dostatków domu. Wierci nauce Piotra z Goniądza, głoszącej, iż „zwolennik Chrystusa wiary powinien żyć w samej li tylko pobożności, urzędu zaś nie sprawować“ Sieniutowie stoją zdala od spraw publicznych, przekładając domowe zacisze nad zgilek obrad sejmowych. Takimi przynajmniej widzi ich wiek XVII. — Pozorne to wszakże zawarcie się wśród drewnianych ścian rodzinnego zameczku, co zasiadł na wysepce, wśród obszernej stawów lachowieckich, nie okryło ich imienia szatą niepamięci. Z dalekich niw wielkopolskich młodzieńcy przedniejszych domów szła dziewosłbie orszaki do nadhoryńskich siedzib Sieniutów i jedna z dziewic ich rodu — Anna Sieniucianka — co wniosła pod dach Opalińskich książęce rzeć można wiano, stając się małżonką Piotra Opalińskiego, podkomor. poznańskiego, w ostatnich latach rządów Jana Kazimierza, jest po kądzieli prababką małżonki Ludwika XV, Maryi Leszczyńskiej. Młodzi Sieniutowie, jeżeli się nie cisną do podwoi sejmowych, jeżeli o owych możnych ziemianach Wołynia zabaczają gwoili ich innowierstwu, gdy chodzi o wysłanie posłów na obrady krajowe, to bynajmniej nie dla wadliwości ich wykształcenia, nie dla braku cnót obywatelskich. Obskurantyzm nie gnieździł się pod starodawnymi stropy lachowieckiego zameczku, bo wielokrotnie spotykają się ślady, że pacholeta onego domu ciągnęły do dalekich wszechnic Zachodu, kształciły się wśród murów wiecznego miasta. Z Rzymu to właśnie przybywa Paweł Sieniuta wyznawcą nauki, znanej pod ogólnym mianem arianizmu, co wnet potem szeroko zaczęła się szerzyć wśród wołyńskiej rzeszy szlacheckiej. Ów Paweł słynnym był w swej epoce jako opiekun różnowierców sam kilkakrotnie zmieniając wyznanie; opuścił ten Paweł Krzysztof dwóch imion Sieniuta helwecką naukę dla katolicyzmu. Dawni spółwyznawcy zniewoleni są wówczas pożegnać gościnne dotąd dla nich progi lachowieckiego zameczku, a Dominikanie, którzy pracowali nad nawróceniem przedniejszej gałęzi Sieniutów, otrzymują olbrzymie zapisy dla swego klasztoru, jaki wzniesić zamierzył w Lachowcach możny prozelita. Wśród licznych uposażeń zakonu, zdumiewających hojnością, na którą dziś niejednego z królików rzeszy teutońskiej nie stać by było, czytamy: „iż całe dobra lachowieckiej linii Sieniutów — które w tedy wadał Paweł — staną się własnością lachowieckiego konwentu Dominikanów, jeżeli który z potomków Pawła Krzysztofa Sieniuty zerwie z katolicyzmem“...

Mistrze duchowni, acz tak sownie uposażeni i tak zabezpieczeni od rewokacyi potomków Pawła, nie ufali mu znać zupełnie i unieśli się zbyt wielką gorliwością. Poradzono mu bowiem, by jechał do stóp Stolicy Apostolskiej i w murach Watykanu, błagał przebaczenia za błędy praocjów. Podobne możnowładców naszych pokutnicze pielgrzymki nie były w owej epoce rzeczą wyjątkową. Udał się przeto i świeżo nawrócony Paweł lać pod italskim niebem żyć pokutnicze wrzeczono szczerej wiary, bawił niedługo i wrócił z pątniczej wędrowki arianem. Zgromadzenie lachowieckich Dominikanów oburzone tak szybką apostazją popełnioną nad Tybrem, tam właśnie gdzie sądzono, iż Paweł zdobędzie pawę od pokus odszczepieńczych, rozpoczęło proces o dobra kacerza. Umowa zawarta z Sieniutą, o której wspomnieliśmy, wyraźnie orzekała, iż odszczepieństwo potomków Sieniuty pociąga za sobą utratę obszernej ich ojcowizny, co miała przejść do konwentu lachowieckiego. Zakon przeto, ufny w swe prawo, cztery dziesiątki lat energicznie domaga się spełnienia nieopatrznych umów Sieniuty, który do końca życia pozostał wiernym systematowi reformatów.

(Dokończenie nastąpi).

ROCH MUZYCZNY.

(Dokończenie).

Hans v. Bülow należy dzisiaj wespół z dwoma Rubinsztejnami, Antonim i Mikołajem, do pierwszorzędnej trójcy, dzierżącej berło potęgi fortepianowej, i przyznać musimy, szczególnie po tegorocznych koncertach, że berło to godne piastują dłonie. Dawniej przed paru laty, mimo olbrzymiej swojej potęgi, wydawał nam się Bülow trochę chłodnym, konwencyonalnym, zastępującym często uczucie *maniera*, dziś, czy to usposobienie artysty było lepsze, czy myśmy do słuchania byli lepiej przygotowani, czy też nareszcie na drodze samodzielnej ekspresji zaszedł postęp, — dość że sąd nasz o tym znakomitym wirtuozie musimy jeszcze bardziej uczynić dodatnim. Naprzód siła jego jakby zolbrzymiała — następnie zapal nieklamany przebiega się wszędzie, i chyba tylko gdzieś wprawne ucho dostrzeże jakiś cień dawnej sztywności. Dawniej w wykonanej Sonacie Beethowena, a nawet i w 5-tym koncercie, zdawało się nam czuć raczej chłodną deklamacyę niż głębokość; teraz usłyszeliśmy Sonatę op. 57 zagrąną tak, jak jeszcze nikt nam jej nie zagrał: był tam i namiętny ogień, i myśl rozumna a głęboka. Fugi jak zawsze grał cudownie — drobne klasyczne utwory, z nieporównaną prostotą i wdziękiem; w sonacie Webera rozwinął całą swobodę romantyzmu, i tak ją zagrał poetycznie i naturalnie, że nawet cokolwiek nowomodne dodatki Henselta wydały się jakby jakąś improwizacyą, połączoną nierozzerwanym węzłem z treścią duchową całego dzieła. Na drugim koncercie publicznosci miała prawdziwą niespodziankę: w całym programie nie było ani jednej sztuki Szopena, zapewne zwrócono na to uwagę artysty, jako też i na tę okoliczność, że to był dzień 1 marca, rocznica urodzin naszego mistrza. Aby nas więc zadowolnić, usunął p. Bülow kilka sztuk z zapowiedzianego programu, a w to miejsce zagrał nam *coup sur coup* z dziesięć sztuk Szopena. Były tam i dwa Nokturny (C moll i G dur) i Ballada (G moll) i Mazurki i Wale, i transkrypcya Liszta z piosenki „Gdybym ja była“ i na zakończenie wspaniały ów Polonez (as dur), grany rozumie się, za przedko. Oprócz tego jednego zarzutu, nie możemy powiedzieć inaczej, tylko że Szopenowskie rzeczy grane były z wielkiem czuciem i natchnieniem, nawet Mazurki bardziej nas dziś zachwyciły niż dawniej, lubo jeszcze nie był to nasz rytm prawdziwy, który, aby dobrze pochwytać, trzeba się chyba Słowianinem urodzić.

Słowem Bülow zajaśniał jako świetny i często idealny wykonawca dzieł klasycznych, jako romantyk pełen smaku w dziełach nowszej szkoły, a nawet jako poeta i myśliciel czarujący nieraz cudownem wypieszczeniem formy.

Zaraz po Bülowie możemy pisać śmiało o wystąpieniu fortepianistki pani Essipow na 9-tym wielkim koncercie Towarzystwa muzycznego. Pani Essipow władając niepospolitą techniką, stanąć może obok najpierwszych dzisiaj mistrzów. Talent to zdumiewający. Większej siły trudno wymagać nawet od istoty należącej do płci niewieściej, a jednak mało który z artystów męczyzn pod tym względem jej dorówna. Lekkość ręki w okatach czarująca, trudno spotkać większą pod tym względem prezycją. Uderzenie prześliczne, inteligentne, gra pełna czucia i deklamacyi. Pani Essipow wykonała na tym wieczorze koncert D moll Rubinsztejna i Rhapsodję Liszta z orkiestrą; zaś z solowych ustępów Nokturn C moll Szopena, Scherzino Schumann'a i Etud Liszta. Ta ostatnia szczególnie byliśmy oczarowani. Olbrzymia technika młodej fortepianistki dozwala jej brać szybkie tempo à la Tausig i wychodzić z nich zwycięzko — powiedzmy zaraz, że to się nie dzieje z ujmą sztuki. Owszem, o ile z pierwszego wystąpienia sędzić mogliśmy, pani Essipow szanuje sztukę i bez potrzeby nie popisuje się z mechanizmem. Nokturn C moll Szopena kilkakrotnie już słyszeliśmy w tym sezonie; nie powiem aby nas kiedy zupełnie zadowolnił. Wczorajsze tempo np. wydało mi się z początku za wolne — w środkowym ustępie

¹⁾ Zapewne to o grobie ostatniego z kniaziów Prońskich, mówiono T. Lipińskiemu w r. 1824, gdy przejeżdżał przez Beresteczko, które to mauzoleum aryjskie wziął mylnie nasz archeolog za pomnik bitwy Jana Kaz. z Chmielnickim pod Beresteczkiem w 1651 r. — Pomnika bitwy nigdy pola berestecckie nie posiadały, nawet ślady mogił znikły wśród niw uprawnych, a wyniosły grobowiec, mieniony mylnie w Star. Pol. § II str. 838, pomnikiem bitwy jest miejscem spoczynku kniazia Alexandra Prońskiego woj. trockiego, ostatniego z rodu.

Cdur wydało mi się, że pani Essipow podobnie jak Bülow, z wyraźną intencją unika wskazanych przez Szopena arpedżiów, i nawet opuszcza niektóre nuty w basie, byleby jednocześnie akordy uderzać. Przy zakończeniu widać chwilowo pamięć zawiodła artystkę, ponieważ zamiast odegrać cały temat, wypuściła z niego cały ustęp zawarty między taktem szóstym i ósmym finału.

Żałujemy mocno, że obowiązek wczesnego skończenia niniejszego artykułu, nie dozwala nam dopełnić naszego sądu o grze nowo-poznanej artystki, po jej niedzielnym koncercie, gdzie program bardziej urozmaicony pozwoliłby nam ocenić bardziej wszechstronnie ten znamienity talent.

Część wokalną wspomnianego wielkiego koncertu T. M. wypełniła pani Pfeiffer-Płódowska, artystka zaszczytnie znana zagranicą, pod pseudonimem pani Morelli. Dzieła wykonane przez artystkę nie należały wprawdzie do klasycznych, ale przedstawiały wyborne pole do wykazania brawury i niepospolitego opanowania techniką śpiewu. Głos niezbyt już dźwięczny p. Płódowskiej, ma jednak jeszcze niepospolite zalety — sposób wydobywania go jest w ogóle wyborny, wyjąwszy w nutach wyższych, gdzie zbyt wyrazisty giest głową, nie zawsze mógł ustrzedz śpiewaczkę od niedokładnej intonacji — wolelibyśmy nadto, aby artystka mniej czyniła zmian w tekście Belliniego, którego nie raz poznać nie można było. Okoliczności, o których wspominamy, zepsuły dobre wrażenie, jakie skądinąd śpiew pani Płódowskiej powinien po sobie zostawiać.

Sympatyczny i pełen talentu artysta — skrzypek, p. Remenyi, zagrał nam kilka dzieł Szopena, przełożonych na swój instrument. Przyznajemy, że lubo w zasadzie nie lubimy podobnych transkrypcji, tym razem bardzo miłego doznałszy wrażenia. Nokturn Es dur, znany już nam z układu na wiolonczellę, brzmiał na skrzypcach bardzo dobrze. Również korzystnie się przedstawiło Impromptu as dur, wykonane prześlicznie i z wielkim zrozumieniem. Ale najciekawszym bez kwestyi był Mazurek H moll (op. 33 Nr 4). Jest to ten sam, do którego Ujejski napisał poezję: *Koniucha*, tak według mnie fałszywie malującą charakter tej kompozycji. Mazurek to czysto hołopski, pełen dziarskiej fantazyi, przytupywania nogami, i tej smętnej uciechy, tak wiernie oddanej przysłowiem: „choć bieda to hoć!“ Sentymentalizmu nie ma ani krzty, ani żadnych snów, mgieł i widziadeł. Tak też go pojął pan Remenyi, który wprawdzie nadzwyczaj go wykonywał fantastycznie, ale fantazyja to pełna naturalności i humoru, dysze poezya prawdy.

Koncert zakończyła 7-ma Symfonia Beethovena. Żałujemy, że ani o wykonaniu tej Symfonii, ani o akompaniamencie orkiestry w solach p. Essipow, nie możemy się odezwać z wielkiem uznaniem. Ani w jednym, ani w drugim nie znać było dostatecznego wypracowania, dostatecznego przejęcia się przedmiotem. Czyja tu wina? nam się zdaje, że głównie p. Zarzyckiego, choć w znacznej części i złej akustyki sali, lub pojedynczo i niektórych artystów. Lecz szczerze mówiąc, prędzej przebaczyć można jakiś chwilowy fałsz waltorni, lub zbyt wczesne odezwanie się, niepamiętam już którego instrumentu (podobno także waltorni) w koncercie Rubinsztejna, — niżeli apatyczne, chłodne odegranie symfonii, w tempach zaprędkich, bez cieniowania prawie, i przy tak nierównym rozkładzie siły instrumentów, że harmonia dęta ciągle zagłuszała skrzypce i kwartet smyczkowy. Dziś powinniśmy pojmować wykonanie wszelkich arcydzieł klasycznych tak, jak je nam tłumaczą mistrze podobni jak Bülow lub Joachim: dzieła te nieśmiertelne nie są w swym rytmie jednostajne i bez żadnej zmiany, ale przeciwnie zachowane być powinny różnice między tematem burzliwym a tematem spokojnym, istnieć powinny między okresami muzycznymi przestanki króciutkie, pozwalające słuchaczowi rozejrzeć się w przedstawionym mu muzycznym materiale, zdać sobie z niego sprawę i całość zrozumieć. Takt utrzymany ściśle i matematycznie od początku do końca kompozycji, nie rozjaśnia jej wcale, bo jej odbiera poezję, bez której ona traci całe swoje duchowe znaczenie. Zwłaszcza Beethoven wielkim jest poetą i wielkim romantykiem — aby się o tem przekonać, dość przejrzeć studia nad jego sonatami, robione przez Marksa i Bülowa — jeżeli już w Sonatach tyle istnieje rozmaitych odcieni, ileż jeszcze bardziej w każdej Symfonii! Ileż tam miejsc,

gdzie trzeba bądź zwolnić, bądź się zatrzymać, bądź nareszcie nader umiejętnie ustosunkować się brzmienia instrumentów, aby wszystko wyszło jasno i we właściwym charakterze! Prawda, że na to wielu prób potrzeba — ale w takim razie nie ma rady, tylko je trzeba robić, inaczej wykonanie nie będzie artystycznym, nie będzie zaszczytnie reprezentować Towarzystwa muzycznego w obec muzycznego świata Europy! Koncert rozpoczęła piękna uwertura kompozytorki p. Żeleńskiej.

Do liczby najwspanialszych koncertów tej zimy należał niezaprzeczenie koncert urządzony na dochód p. Matuszyńskiego, reżysera opery. Pan Matuszyński długoletnią sumienną pracą i osobistą swą zasługą tyle sobie zjednał sympatyj, że każdy pragnął przynieść mu w darze upominek ze swego talentu; to też wszyscy i artyści opery, bądź w solowych ustępach, bądź w zbiorowych, wzięli udział w programacie koncertu. Nawet artyści opery włoskiej nie chcieli pozostać w tyle — szczególnie p. Mariani uświetniła koncert swym talentem, cudownie odśpiewawszy dwie arye Verde'go. Ale sądzę, że cały program godzien jest powtórzenia.

Koncert rozpoczął polonez z Hrabiny, ułożony na głosy przez p. Troszla, i pod jego dyktando wykonany. Następnie pan Cieślowski wykonał romans z nowej opery „I Goti“ Gobbat'ego, którego imię tak podobno odrazu zasłynęło w całych Włoszech. Romans był ładny, ale trudno z niego o całości wnioskować — wkrótce z pomocą partytury, będziemy mogli czytelniczkom Bluszczu o całej operze zdać sprawę. Daleko świetniej się przedstawiła arya z czeskiej opery p. Smetana „Prodana Niewiasta“ (sprzedana naręczona) odśpiewana przez p. Juniewicz, odśpiewana — pośpieszam to dodać — prześlicznie, bezporównania ładniej niż dodany nad program „Żal dziewczyny“ Moniuszki. Artyści opery włoskiej: p. Mariani, pp. Butti i Faltlinger, wykonali tercet z opery p. Pan'ego, odznaczający się staranną fakturą. Pan Filleborn po długiej nieobecności ukazał się po raz pierwszy na estradzie. Grzmot oklasków dowiódł panu Filleboni, że lepiej nie szukać niepewnych laurów pod sztuczną włoską pokrywą, kiedy ma się u nas tyle sympatyj i zasłużonego uznania. Panna Halina Troschel znana sympatycznie amatorka odśpiewała potem przekleństwo z „Proroka“, z pomocą chóru wybornego, bo złożonego z samych filarów naszej opery.

Część drugą koncertu rozpoczęła pieśń Szopena „Poseł“ — chóralnie ułożona przez p. Kratzera, oraz śliczny Krakowiak z chórem kompozytorki p. Münchheimera — odśpiewany wybornie i z czuciem przez p. Wasilewskiego — ach dla czegoż tremolando! Pan Wasilewski powinien koniecznie pracować nad usunięciem tej wibracji w głosie. Dalsze numera składały dwie arye p. Mariani, wspaniała deklamacja Królikowskiego, duet i sextet z Aidy — słowem program i piękny i bogaty — i wykonany w ogóle prześlicznie — czego dowodem, że mało osób przed końcem salę opuściło, lubo koniec dopiero o godzinie w pół do czwartej nastąpił.

Sprawozdanie o innych koncertach, do następnego artykułu odłożyć musimy.

Jan Kleczyński.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

(Dalszy ciąg).

Kraków w marca 1874.

Ze wszystkich dotychczasowych odczytów najpiękniejszym był Asnyka o Antygonie Sofoklesowej. Prelegent rozebrał charaktery pojedynczych tragedii osób, rzuciwszy pogląd na naturę sztuk dramatycznych greckich, a następnie pokazał nam te wszystkie działające osoby w związku ze sobą, celem objaśnienia idei w sztuce zawartej. Sam będąc poetą wyłuszczył on znakomicie wartość utworu, a piękne tłumaczenie własne niektórych ustępów i pieśni chóralnych, obok prawdziwie ozdobnego i naturalnego stylu stanowiły wielką wartość odczytu. Sztuka tragiczna grecka wystąpiła tu w charakterze powszechno-ludzkim, przynoszącą prawdy żywotne

wszystkimi pokoleniami, wystąpiła jako nauczycielka wyższych zasad moralności społecznej nie tylko greckiego, ale całego ucywilizowanego świata. Odmienny zupełnie pogląd na sztukę grecką rozwijał Książ Golian w odczycie o sztuce wobec Ewangelii. Świat stary według niego obok wielkiej czci dla materyi, miał słabe poczucie duchowych potrzeb i moralności. Z pewnem też lekceważeniem traktował ks. G. zasługi greckich mistrzów i opierając się na Elektrze Sofoklesa dowodził słabości pojęć starożytnych o najbliższem uczuciu każdego człowieka, o miłości dla rodziców. Przykład był dobrze dobrany, ale nie można go uogólniać i za wzór podawać. Świat chrześcijański przewyższa starożytność w moralności indywidualnej, wyzwolił on jednostkę i umoralnił; ale świat stary nie gorsze miał od nas poczucie moralności społecznej i jeszcze dziś żywimy się w publicznem życiu jego wysoką cziłą dla sprawy ogółu, jego poglądem na naturę stosunków ludzkich. Nowa moralność nie stała się wcale panją politycznych sfer życia publicznego. Książ Golian ozdobił swój odczyt licznymi cytatami ze św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu, nie przeszedł jednak poza poglądy średniowieczne i z tego powodu czuć było pewną jednostronność poglądu. Z publiczności mało kto zapewne rozumiał głębokie dociekania scholastyczne nad istotą rzeczy, rzadkie bowiem studia filozoficzne nie usposabiają umysłów do wnikanania w odsłony myśli, na których polega często różnica systematów przeciwnych. Od lat 20 może filozofowie spierają się o fakta i na faktach tworzą swe poglądy, a jedyni Niemcy zachowali zamiłowanie do nauk metafizycznych. To też znaczna część publiczności zamilowanej do kazań ks. G., która podążyła na odczyt, wyszła zeń znudzona i zniechęcona, jakkolwiek bezwzględnie wykład miał swe zalety, mianowicie zaś cytaty były zręcznie dobrane i bardzo ciekawe.

Ponieważ z góry przestrzegłem, że publiczność nasza nie szuka w odczytach nauki, tylko rozrywki, rozumiem się więc samo przez się, że rzecz o powieści nowoczesnej p. Zacharjasiewicza więcej była dla niej pożądaną. Wykład ten zcharakteryzował dość trafnie kierunek literatury powieściowej we Francji, Anglii i Niemczech w ostatnich latach; ale nie podał ogólnego poglądu na powieść nowoczesną. Jednakże powieści nowszej epoki mają, zdaniem mojem, we wszystkich krajach bardzo wybitne piętno, gdyż głównie zajmują się sprawami społecznymi. Pod tą lub ową formą, w idei powieści, lub w ważniejszych jej ustępach, zawsze prawie napotkamy można rozbić kwestję stosunków społecznych. Powieść przestała prawie zupełnie być polityczną, moralną, psychologiczną w ścisłym znaczeniu tego słowa, a stała się socyalną i to we wszystkich literaturach. Na tej podstawie przejawy idei socyalnej w każdej literaturze dałyby autorowi sposobność objaśnienia ważnych bardzo usposobień i dążeń obyczajowych. A jeśli powieść, jak utrzymują estetycy jest rodzajem nowożytnej epopei, to zarazem opinie ogółu znajdują w niej odbicie. Można też powiedzieć, iż w powieści pojawia się ów człowiek przeciętny (*homme moyen*) Queteleta, czyli człowiek będący w opiniach swoich odbiciem tych zwykłych pojęć, jakie spotykamy w społeczeństwie. Określenie ogólnego charakteru powieści nowożytnej pozwoliłoby również prelegentowi wspomnieć o powieściach rosyjskich, amerykańskich i t. d., oraz wyjaśnić rzucenie się w tych czasach tylu kobiet do pisania powieści; ma to bowiem związek bezpośredni z kwestją społecznego stanowiska kobiety i winno być obszerniejszą znaleźć wzmiankę w odczycie, aniżeli krótkie wspomnienie o powieściach guwernantek w literaturze angielskiej. Obok tych zarzutów trzeba przyznać, iż w odczycie pana Z. było wiele pięknych zdań i widoczna znajomość literatury nowożytnej.

Wszystkie niemal powyższe odczyty i wiele innych zapowiadzianych odbywają się na rzecz studentów szkoły sztuk pięknych i dlatego zajmują się głównie kwestyami związanymi ze sztuką, lub literaturą nadobną. Inny zupełnie rodzaj odczytów odbywa się w Muzeum przemysłowem, jakkolwiek i tam obecnie kwitną sztuki piękne. Z żalem pisałem niedawno o zawieszeniu wykładów w muzeum, teraz więc przychodzi mi z przyjemnością donieść, że od połowy stycznia odnowiły się one po półrocznej przerwie. Muzeum samo dostało subwencję od sejmiku 1,000 złr., a odczyty rozpoczęły się w dawnym zakresie. Główna uwaga skupia się jednak na nauce

sztuk pięknych, albowiem p. Baraniecki stara się o utworzenie przy muzeum stałej szkoły rysunkowej dla kobiet. Ponieważ Kraków posiada mekka szkołę sztuk pięknych, a więc odpowiednie siły naukowe, jest zatem nadzieja uzyskania zakładu artystycznego dla płci żeńskiej. Mówiono mi wiele pochwał o kierunku nauki dotychczas przyjętym w dziale sztuk pięknych u p. Baranieckiego, panienki mają wiele korzystać, są takie co już wcale ładnie malują, kopiuja obrazy lub rysują na drzewie, a przytem uczą się nauk koniecznych dla artysty potrzebnych. Może zatem powiedzie się założenie stałej szkoły rysunku i malarstwa dla kobiet. Pomiędzy odczytami w muzeum, jak lat poprzednich, podobnie i w tym roku trzeba odróżnić: wykłady stałe obejmujące całość pewnego przedmiotu, oraz wykłady uzupełniające pewne działy nauki, czyli szereg odczytów w jakiejś specjalnej kwestyi. Te ostatnie są więc publicznymi odczytami, gdy pierwsze dla stałych słuchaczy są przeznaczone. Z pomiędzy odczytów publicznych jedne z najciekawszych są: Maryana Sokółowska o sztuce plastycznej w Grecyi, oraz Dra. Staszewskiego z dziedziny filozofii. W szeregu kilkunastu odczytów prelegent traktuje tu przedmiot specjalny nieco obszerniej, uzupełniając wiadomości w wykładzie stałym nabyte.

(Dokończenie nastąpi).

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

Peryod muszlowy tak nazwany od mnóstwa muszli, jakie jego warstwy obejmują, cechują się licznymi mięczakami, płazami jaszczurowatymi, złożonemi z dwunastu rodzajów, tudzież żółwiami i rybami opatrzonemi pancerzem.

Z mięczaków zamieszkujących morza wymieniamy: *Nautica Gaillardoti*, *Rostellaria antiqua*, *Avicula socialis*, *Ceratites nodosus*, *Terebratula communis*, i wiele a wiele innych. — Z jeżowców przytaczamy: *Encrinurus moniliformis* — niektóre płazy jak *Phytosaurus*, *Capitosaurus* żyły prawdopodobnie na pobrażach — z ryb odznaczają się *Sphaerodus* i *Pienodus*. W warstwach gliniastych peryodu muszlowego, znajdujemy często wyciski stóp zwierza nieznanego. — Wyciski te przedstawiają pięć palcy, podobnych do ręki ludzkiej, ślady te pochodzą od płaza, którego członki przednie były większemi od tylnych. — Znalezione dotąd tylko głowę, miednicę i kość łopatki tego olbrzymiego zwierzęcia, prawdopodobnie zabowatego. — Z ustroju wnosić można, że głowę jego osłaniała tarcza kostna, szczęki zaś uzbrojone były straszliwymi zębami kształtu stożkowatego. — Ciekawemu temu potworowi nadano dwie nazwy *Cheirotherium* i *Labyrinthodon*, ostatnia więcej bywa w użyciu.

Drugim potworem olbrzymich rozmiarów był *Nothosaurus*, rodzaj krokodyla morskiego. — Znalezione obok tego w tychże warstwach, wyciski podobne do szponów orla, nie mogą one wszakże należeć do ptaka, gdyż żadnego szczątka tych tworów powietrznych, nie napotkano w pokładach peryodu muszlowego — ptaki wówczas nie istniały jeszcze. — Brongniart we florze tego peryodu, pomieszcza rośliny dwuliścienne nagonasionowe.

Z pomiędzy nich wymieniamy *Anomopteris* i *Cremaopteris*. — Skrzypy są rzadkie, natomiast *kalamity*, a raczej *Kalamodendrony* bardzo obfite. — Z drzew szyszkowych zasługują na wymienienie: *Voltzia* i *Haidingeria*. Wolce, stanowiące zagubiony rodzaj roślin szyszkowych, z gatunku podobnego do cyprysu, tworzyły wówczas większą część lasów.

Warstwy peryodu muszlowego, składają się z piaskowca pstrego i z wapienia muszlowego. — Występują one głównie we Francyi: w Pireneach, w departamencie Var, na stokach Wogezów. Rozpościerają się od północy na południe Wielkiej Brytanii, w Niemczech, Belgii, Szwajcaryi, Sardynii, Hiszpanii, w Polsce, w Tyrolu, Czechach, Morawii i w Rosyi. — Orbigny wykrył je w okolicach górzystych Boliwii i w Ameryce południowej. Istnieją też w Stanach Zjednoczonych, w Kolumbii, w Wielkich Antyllach i w Meksyku.

Kościół w Strasburgu i we Fryburgu, zbudowane są z olbrzymich głazów piaskowca pstrego — ciemne barwy tych kamieni, odpowiadają przedziwnie wspaniałości gotyki.

Peryod solodajny otrzymał nazwę z powodu wielkich pokładów soli morskich, jakie jego warstwy obejmują.

Zkąd pochodzą te olbrzymie osady soli morskiej poprzekładanej marglami w pokładach tego peryodu? — Możemy je tylko wyjaśnić parowaniem kolosalnych mas wody morskiej, pozostawiającem osady solne, które wkrótce potem pokryte zostały ławicami ziemniem.

Flora i fauna peryodu solodajnego, jest zupełnie tak sama jaką wskazałem w peryodzie muszlowym. Łądy owoczesne niewiele wyniosłe, poprzerywane są tu i owdzie rozległemi jeziorami, i okrawędzone brzegami płaskimi. Na tych pobrażach krzewiła się roślinność bogata. — Florę tę składały paprocie, skrzypy, sagowce, drzewa szyszkowe, i niektóre jednolicienne. Z Sagowców wymieniamy: *Pterophyllum Joegeri*, i *Munsteri*, z szyszkowych drzew *Taxodites munsterianus*. — Skrzypy z rodzaju *Equisetites columnaris*, jak świece prosto wybiegłe, nadawały dziwną fizyognomię tym płaskim, samotnym pobrażom.

Sól szybikową z tej epoki pochodzącą, eksploatują dziś w Wirtembergu, oraz w Vic i Dieuze (Meurthe) we Francyi. — Pokłady soli w Wieliczce i Bochni pochodzą już nie z tej epoki, lecz z okresu zwanego Trzeciorzędowym. Sól też z Tryasu, z powodu głębokości w jakiej się mieści, dobywaną bywa przez wiercenie studni i napelnianie ich wodą, która następnie wypompowana zostaje. — Woda ta nasyca się solą morską, a w skutek odparowania, pozostawia sól w stanie krystalicznym. — Przechodząc grzbiety górskie Alp i karpat, znajdujemy warstwy solodajne z tej epoki, charakteryzujące się wielkimi skupieniami muszli *Aviculów*. — Podobnie istnieją w Syrii, w Indyjach, Nowej Kaledonii, Nowej Zelandyi i w Australii.

Jedną z najważniejszych epok w historii kuli ziemskiej, jest tak zwana Jurasowa, od gór Jura we Francyi, złożonych po większej części z warstw osadzonych przez morze owoczesne.

Juras przedstawia cechy wyraziste w swej florze i faunie.

Mnóstwo zwierząt z okresu poprzedniego, w nim się nie napotyka, natomiast występują nowe gatunki których liczą do czterech tysięcy.

Rozdzielamy epokę jurasową na dwa peryody: *Lejasowy* i *Oolitowy*, czyli *Wapienia i krowatego*.

Zwierzokrzewy, mięczaki, ryby cechujące się odrębnym od dotąd znanych ustrojem, a głównie płazy wielkości nadzwyczajnej, nadają morzom lejasowym rysy charakterystyczne. — W owym to czasie ukazały się ogromne jaszczury, będące niezaprzeczenie najdziwniejszemi z jestestw przyrody.

Z pośród zwierzokrzewów wyróżniały się gwiazdy morskie: *Asteria lombricalis* i *Palaeocoma Fustenbergii* — z pentakryn: *Pentacrinus fasciculosus*, stanowiąca gwiazdę wytworną pięciopromienną.

Ostrygi rozradzają się liczniej w Lejasie — z pomiędzy nich pięknością muszli zachwyca *Ostrea arcuata*. — *Ammonity* rodzaj mięczaków z pancerzem przepysznym wzorzystym, dosięgają zupełnego rozwoju.

Z ciekawemi temi mięczakami, wypada mi nieco bliżej zapoznać czytelniczki.

Ammonity nazwę swą otrzymali, z powodu swego podobieństwa do rogów tryka, zdobiących główną fasadę świątyni Jowisza Ammona i płaskorzeźby pomnikach tego pogańskiego bożka.

Ammonity były mięczakami głowonogiemi, zamkniętymi w muszli okrągłej, zwiniętej spiralnie na jednej płaszczyźnie, i podzielonej na jamy. — Ciało zwierzęcia zajmowało jedynie jamę najbliższą otworu, inne wydrążenia były puste. — Przez wszystkie te jamy przechodziła rura, posługująca zwierzęciu do stawiania się lżejszem lub cięższem. — *Ammonit* mógł dowolnie wprowadzać do tego przewodu wodę lub ją wyrzucać, a tem samem obniżać się do głębi topieli wodnych, lub wypływać na ich powierzchnię. Nasz łódzik (*Nautilus*) posiada tenże sam ustrój ciekawy, przypomina też doskonale *ammonity* wieków geologicznych.

Wyobraźmy sobie na morzu jurasowem, miliardy tych jestestw pływających, ubiegających się za pochwytem zdobyczy, a będziemy mieć wiaok niezwykły, jakiego już nigdy nie przedstawi ziemia.

Ammonity jurasowe reprezentowały nieskończoną różnorodność kształtów i wymiarów, z pomiędzy nich wyróżniały się osobliwszą wytwornością: *Margaritatus bisulcatus*, *Nodotianus bijrons*.

Drugim ciekawym okazem mięczaków głowonogich, który pojawił się po raz pierwszy w tej epoce i rozradzał w niej w niesłychanym mnóstwie, był *belemnit*. Posiadamy mały szczątek kostny tego mięczaka, przypominającego sepię kałamarkę. *Belemnity* żyły i pływały w głębi wód, nie zaś na ich powierzchni jak *ammonity*.

Belemnity również jak *Sepia* kałamarka, wydzielali materię płynną, czarną, jak atrament. — Przedziwnie dochowana pochewka *belemnita*, zawierająca zeschnięty ów atrament, znaleziono w ubiegłym stuleciu. — Pewien geolog cieszył się jak dziecią, gdy narysował obrazek tą sepią, licząc ją może miliony lat.

We wszystkich wiekach *belemnity* zwracały uwagę uczonych i dały powód do tworzenia najniedorzeczniejszych domysłów o ich pochodzeniu. — Uczeń średnich wieków upatrywał w nich *kamienie rysia*, o których wspominają Teofrast i Pliniusz — w późniejszych czasach uważano je za kawałki bursztynu skamieniałego, za daktyle kopalne, za kamienie piorunowe, wreszcie za kolce niedźwiadka. — Naturalista Deluc znakomity przytem fizyk, rozpoznał w *belemnitach*, skielet wewnętrzny zwierzęcia podobnego do sepii.

Belemnity lejasu różnią się od właściwych oolitowi jak to sprawdzić można na gatunkach *acutus pistiliiformis* i *sulcatus*. — Wymienić też winniśmy mięczaka lejasowego olbrzymich wymiarów zwanego: *Plagiostroma giganteum*.

Morza lejasowe zawierały mnóstwo ryb kostoluskich, to jest pokrytych łuską twardą i połyskową. Do takich należała olbrzymia ryba: *Lepidotus gigas* inny gatunek zwany: *Tetragonolepis* przedstawiał mniejsze wymiary. — Wykryto niemniej żęby ryby *Acrodus nobilis*, które w Anglii nazwano *pijawkami kopalnemi*. Lejas charakteryzuje się głównie przecież płazami kolosalnych wymiarów i kształtów cudackich, które w nas budzą ciekawość, podziw i osłupienie.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się *Prospekt na Encyklopedyę* S. Orgelbranda, która za pośrednictwem księgarni M. Glücksberga (Wydawcy *Bluszcza*) w Warszawie prenumerowaną być może.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*, oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: Chrystus i niewiasty, (poezya), przez Maryę Illicką. — Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie, Prelekcyja, przez Edwarda Prądyńskiego. — *Zarnica*, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — *Ostatni z Sieniutów*. — *Ruch muzyczny*, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego. — *Korespondencya krakowska*, (dalszy ciąg). — *Z wiedzy przyrodniczej*, (dalszy ciąg), przez Wincentego Niewiadomskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 18 (30) Мапра 1874 р.